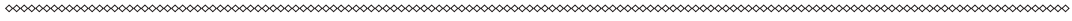


[fragment książki](#)

I



NOC

1

Spałyśmy w pomieszczeniu, które kiedyś musiało być halą sportową. Podłoga z lakierowanych desek, z liniami i kołami stanowiącymi pozostałość po dawnych rozgrywkach; obręcze po nieistniejących już siatkach do koszykówki. Dokoła balkon dla publiczności. Wydawało mi się, że jeszcze ciągle czuję słaby jak powidok, przenikliwy zapach potu, przemieszany ze słodkawym aromatem gumy do żucia i perfum, obserwujących rozgrywki dziewcząt, najpierw w filcowych spódnicach – jak wiedziałam ze zdjęć – potem w spódniczkach mini, potem w spodniach, wreszcie w jednym kolczyku i z postawionymi na sztorc, upstrzonymi zielenią włosami. Musiały tu się też odbywać tańce – w powietrzu wisiała muzyka niczym palimpsest niesłyszanego dźwięku – moda po modzie – pomruk bębnów, smętne zawołanie, girlandy bibułkowych kwiatów, tekturowe diabły, obrotowa lustrzana kula prosząca na tancerzy śniegiem światła.

Sala zachowała jeszcze atmosferę seksu, samotności i wyczekiwania na coś, co nie miało ani kształtu, ani nazwy. Pamiętam ową tęsknotę za czymś, co już-już miało się stać, a nigdy nie było takie samo, jak ręce, które nas już gdzieś dotykały, z tyłu w talii, tutaj albo na parkingu, albo w pokoju telewizyjnym, przy wyłączonym dźwięku i tylko z obrazem migającym nad unoszącym się ciałem.

Tęskniłyśmy za przyszłością. Jak myśmy się tego nauczyły? Skąd nam się wzięła ta skłonność do nienasycenia? To było w powietrzu; było w powietrzu w dalszym ciągu, jak spóźniona myśl, nawiedzało

nas, kiedy próbowaliśmy spać na wojskowych pryczach, ustawionych w rzędach, odsuniętych od siebie tak, żebyśmy nie mogli rozmawiać. Miałyśmy flanelowe prześcieradła, jak dzieci, i wojskowe przydziałowe koce, na których w dalszym ciągu widniały litery U.S. Składałyśmy porządnie ubranie i zostawiałyśmy na stołkach w nogach łóżek. Światła były przyćmione, ale niezgaszone całkowicie. Sypialnię patrolowały Ciotki Sara i Elizabeth; do pasków miały przywieszane na rzemykach elektryczne pręty do popędzania bydła, ale żadnej broni – nawet im nie należało ufać. Pistolety były zarezerwowane dla strażników specjalnie wybranych spośród Aniołów. Strażnikom nie wolno było wchodzić do budynku, chyba że na wezwanie, nas zaś nie wypuszczano na zewnątrz, poza spacerami, które odbywałyśmy dwa razy dziennie, chodząc parami wokół boiska piłki nożnej ogrodzonego teraz siatką z drutem kolczastym. Dokoła tej siatki stali Aniołowie, odwróceny do nas tyłem. Myślałyśmy o nich ze strachem, ale nie tylko. Bo gdyby tak spojrzeli w naszą stronę, gdyby tak z nimi porozmawiać, można by coś wymienić, myślałyśmy, ubić jakiś interes, zahandlować. Miałyśmy przecież jeszcze swoje ciała. Tak sobie fantazjowałyśmy.

Nauczyłyśmy się szeptać, prawie nie wydając dźwięku. W półmroku, kiedy Ciotki nie widziały, mogłyśmy wyciągnąć ręce poprzez dzielącą nas przestrzeń i dotykałyśmy się nawzajem. Nauczyłyśmy się czytać z ruchu warg – leżąc płasko na łóżku, z głowami odwróconymi na bok, obserwowaliśmy swoje usta. W ten sposób, od łóżka do łóżka, wymieniałyśmy imiona:

Alma. Janina. Dolores. Moira. June.

II

ZAKUPY

2

Krzesło, stół, lampa. W górze, na białym suficie, płaskorzeźba w kształcie wieńca – zagipsowana pustka, jak miejsce na twarzy, z którego usunięto oczy. Kiedyś musiał tu wisieć żyrandol. Usunęli wszystko, do czego można by przywiązać linę.

Okno, dwie białe zasłony. Pod oknem szeroki parapet z małą poduszką. Kiedy okno jest częściowo otwarte – a otwiera się tylko częściowo – wpada do pokoju powietrze i porusza zasłony. Mogę sobie wtedy usiąść na krześle czy na parapecie, z założonymi rękami, i patrzeć. Przez okno wpada także słońce, kładąc się na podłodze drewnianej, z wąskich desek, zapastowanej i wyfroterowanej do połysku. Czuję zapach pasty. Na podłodze leży też owalny dywanik utkany z gałganów. Lubią ten styl: sztuka ludowa, dawna, tworzona przez kobiety w wolnych chwilach z rzeczy już nieprzydatnych. Powrót do wartości tradycyjnych. Nie marnotraw, nie pożądam. Ja się nie marnuję; dlaczego jeszcze czegoś pożądam?

Na ścianie, nad krzesłem obrazek, w ramce, ale bez szkła: reprodukcja przedstawiająca kwiaty, niebieskie irysy, akwarela. Kwiaty są w dalszym ciągu dozwolone. Zastanawiam się, czy każda z nas ma taką samą akwarelę, takie samo krzesło, takie same białe zasłony? Przydziałowe?

Wyobraźcie sobie, że jesteście w wojsku – mawiała Ciotka Lidia.

Łóżko. Pojedynczy materac średniej miękkości, przykryty białą, kudłatą narzutą. W tym łóżku na nic innego nie ma miejsca

poza snem albo bezsennością. Staram się zbyt wiele nie myśleć. Jak wszystko inne, tak samo myśl musi być racjonowana. O wielu sprawach nie da się myśleć. Myślenie może zmniejszyć moje szanse, a ja chcę przetrwać. Wiem, dlaczego akwarela przedstawiająca niebieskie irysy nie ma szkła, dlaczego okno otwiera się tylko częściowo i dlaczego szyby w nim są nietłukące. Nie chodzi o ucieczkę. I tak nie uciekłoby się zbyt daleko. Chodzi o te inne uciezki, które człowiek znajduje w sobie, jeśli tylko ma coś ostrego.

A więc. Pomijając te szczegóły, mógłby to być pokój gościnny jakiegoś college'u dla mniej ważnych gości; umeblowany pokój do wynajęcia z dawnych czasów, dla pań żyjących w skromnych warunkach. Tak jak my obecnie. W skromnych, co prawda, ale przynajmniej w jakichś warunkach.

Krzesło, słońce, kwiaty, to wszystko są rzeczy nie do pogardzenia. Jestem żywa, żyję, oddycham, wyciągam dłoń, wyprostowaną, do słońca. Miejsce, w którym przebywam, to nie więzienie, to przywilej, jak twierdziła Ciotka Lidia, która uwielbiała wszelkie tego typu dywagacje.

Dzwoni dzwonek, który odmierza czas. Bo tutaj czas odmierzają dzwonki, jak kiedyś w klasztorach. I jak w klasztorze jest tu niewiele luster.

Wstaję z krzesła, wysuwam w stronę słońca stopy w czerwonych pantoflach na płaskim obcasie, ze względu na kręgosłup – nie dlatego że wygodnie byłoby w nich tańczyć. Na łóżku leżą czerwone rękawiczki. Sięgam po nie i naciągam, palec po palcu. Wszystko, poza skrzydłami przy twarzy, jest czerwone – kolor krwi, po którym się nas poznaje. Spódnice do kostek, pełne, marszczone, u góry prosty stanik zakrywający piersi, długie rękawy. No i białe przepisowe skrzydła: zasłaniają nam widok, ale i nas zasłaniają przed wzrokiem innych. Nigdy nie było mi dobrze w czerwonym, to nie mój kolor. Biorę koszyk na zakupy, wieszam go sobie na ręce.

Drzwi do pokoju – nie mojego pokoju, wzdragam się przed użyciem słowa „mój” – nie są zamknięte na klucz. W gruncie rzeczy

w ogóle źle się zamykają. Wychodzę na wypastowany korytarz; przez środek biegnie chodnik w kolorze przykurzonego różu. Jak ścieżka w lesie, jak dywan dla członków rodziny królewskiej – wskazuje mi drogę.

Chodnik zakręca i spada w dół frontowymi schodami, a ja idę wraz z nim, z ręką na balustradzie, która kiedyś była drzewem, powalonym w innym wieku i wypolerowanym do ciepłego połysku. Dom jest późnowiktoriański, zbudowany dla dużej, zamożnej rodziny. W korytarzu wielki szafkowy zegar, który odmierza czas, a dalej drzwi do statecznego reprezentacyjnego salonu, pełnego aluzji i cielistych odcieni. Salon, w którym nigdy nie siedzę, tylko stoję albo klęczę. Na końcu korytarza, nad frontowymi drzwiami, jest półkolisty okienko z kolorowego szkła: kwiaty, czerwone i niebieskie.

Na ścianie korytarza ostało się lustro. Jeśli odwrócę głowę, tak że osłaniające moją twarz białe skrzydła skierują ku niemu mój wzrok, widzę je, schodząc na dół – okrągłe, wypukłe jak rybie oko, i siebie w nim, zniekształcony cień, parodię jakiejś postaci, baśniową istotę w czerwonym płaszczu, schodzącą ku chwili nieuwagi równoznacznej z niebezpieczeństwem. Siostra, skąpana w krwi.

U stóp schodów znajduje się zrobiony z giętego drewna stojak na parasolki i kapelusze. Długie toczony pręty w łagodnym kształcie młodych pędów paproci. Stoi tu kilka parasolek: czarna dla Komendanta, niebieska dla Żony Komendanta i trzecia, przeznaczona dla mnie, oczywiście czerwona. Nie biorę parasolki, przez okno widzę, że dzień jest słoneczny. Zastanawiam się, czy Żona Komendanta jest w salonie. Czasem słyszę, jak się przechadza tam i z powrotem: najpierw ciężki krok, potem lekki, a potem stuknięcie laski, stłumione przez szaroróżowy dywan.

Idę korytarzem, mijam salon i jadalnię, otwieram drzwi na samym końcu korytarza i wchodzę do kuchni. Tu już nie pachnie pastą do podłogi. Przy stole, pokrytym białą poodpryskiwaną emalią, stoi Rita. Jest w swojej zwykłej sukience Marty, ciemnozielonej jak fartuchy chirurgów z poprzedniego czasu. Jej sukienka przypomina

moją – jest tak samo długa i skromna, tyle że z fartuszkim, ale za to bez skrzydeł i woalki. Rita wkłada woalkę, wychodząc, ale nikt w gruncie rzeczy nie obchodzi, czy kto widzi twarz Marty, czy nie. Rita ma rękawy podwinięte do łokci, które ukazują ciemne ręce. Robi chleb, rzucając bochenki do ostatecznego krótkiego wyrobienia i uformowania.

Rita widzi mnie i kiwa głową – trudno powiedzieć, czy to w geście powitania, czy też po prostu na znak, że mnie dostrzegła; wyciera w fartuch umączzone ręce i grzebie w szufladzie w poszukiwaniu książki kuponów. Nachmurzona wrywa trzy i wręcza mi je. Jej twarz mogłaby nawet być miła, gdyby się uśmiechnęła. Ale mars na czole Rity nie dotyczy mnie osobiście: Rita nie znosi czerwonych sukienek i tego wszystkiego, co symbolizują. Uważa, że mogą być zaraźliwa, jak choroba czy pech.

Czasami podsłuchuję pod zamkniętymi drzwiami, co dawniej byłoby nie do pomyślenia. Nie słucham długo, nie chcę, żeby mnie na tym przyłapano. Ale kiedyś usłyszałam, jak Rita mówiła do Cory, że nigdy by się tak nie poniżała.

– O takie rzeczy nie pytają – odparła Cora. – Ciekawe, co byś zrobiła na ich miejscu.

– Pojechałabym do Kolonii. Zawsze jest jakiś wybór.

– Z niekobietami, żeby tam umrzeć z głodu i Bóg jeden wie, co jeszcze? – powiedziała Cora. – Rozumiem.

Łuskały groch; przez niedomknięte drzwi dochodziło delikatne stukanie twardych kulek o metalową miskę. Usłyszałam mruknięcie czy też westchnienie Rity na znak protestu, choć może i zgody.

– W każdym razie robią to dla wszystkich – powiedziała Cora – a przynajmniej tak mówią. Gdybym nie miała podwiązanych jajowodów i gdybym była, powiedzmy, o dziesięć lat młodsza, to mogłabym to równie dobrze być ja. Nie jest tak źle. Trudno to nazwać ciężką pracą.

– Lepiej, że ona, niż gdybym to miała być ja – powiedziała Rita, i w tej samej chwili otworzyłam drzwi. Miały takie miny, jakby cię

obgadywały za plecami i w pewnym momencie się zorientowały, że wszystko słyszałaś – zmieszane, ale jednocześnie trochę wyzywające, jakby miały do tego prawo. Tego dnia Cora była dla mnie miłsza niż zwykle, a Rita bardziej burkliwa.

Dziś, pomimo kamiennej twarzy Rity i jej zaciśniętych ust, chętnie bym została tu w kuchni. Mogłaby przyjść Cora z jakiegoś innego pomieszczenia, ze swoją butelką oleju cytrynowego i ścierką od kurzu, i Rita zrobiłaby kawę – w domach Komendantów pija się jeszcze prawdziwą kawę – i usiadłybyśmy sobie przy kuchennym stole Rity, który jest jej stołem w tym samym stopniu, w jakim mój stół jest moim stołem, i gadałybyśmy sobie o dolegliwościach i bólach, o chorobach, o naszych stopach i plecach, i wszelkich możliwych figlach, jakie pła-tają nam – niby niesforne dzieciaki – nasze ciała. Kiwałybyśmy ze zrozumieniem głowami, że tak, że to wszystko znamy. Wymieniałybyśmy nazwy lekarstw i prześcigały się w kwękaniu; narzekałybyśmy ściszonymi głosami, w żałobnym, minorowym tonie – jak gołębie na dachu. „Wiem, o co ci chodzi” – powtarzałybyśmy – zupełnie tak jakbyśmy używały wyrażenia, które się czasem jeszcze słyszy u starszych ludzi: „Wiem, skąd pochodzisz”, jakby sam głos był podróżnikiem przybywającym z dalekich stron. Którym byłby, którym jest.

Jakżeż ja pogardzałam taką paplaniną. Teraz za nią tęsknię. Przy-najmniej jest to jakaś rozmowa. Jakaś wymiana.

Albo byśmy plotkowały. Marty wiedzą różne rzeczy, rozmawiają między sobą, przekazując nieoficjalne wiadomości z domu do domu.

Z pewnością podsłuchują pod drzwiami jak ja i widzą niejedno, nawet kiedy odwracają wzrok. Czasem udawało mi się je na tym złapać, pochwycić strzępy ich prywatnych rozmów. „Urodziło się martwe”. Albo: „Przebiła jej brzuch drutem od robótek. Najwyraźniej z zazdrości, tak, musiała ją pożerać zazdrość”. Albo: „Użyła płynu do czyszczenia klozetów. Podziałał jak czary. I pomyśleć tylko, że on go spróbował. Musiał być bardzo pijany; ale i tak ją znaleźli”.

Albo pomagałabym Ricie w pieczeniu chleba, zagłębiając dłonie w miękkim, opornym cieple czegoś, co tak bardzo przypomina ciało.

Mam silną potrzebę dotykania czegoś, co nie jest ani tkaniną, ani drewnem. Pragnę popełnić akt dotykania.

Ale nawet gdybym poprosiła, nawet gdybym miała w tym stopniu pogwałcić zasady, Rita i tak by się nie zgodziła. Bałaby się. Martom nie wolno się z nami fraternizować.

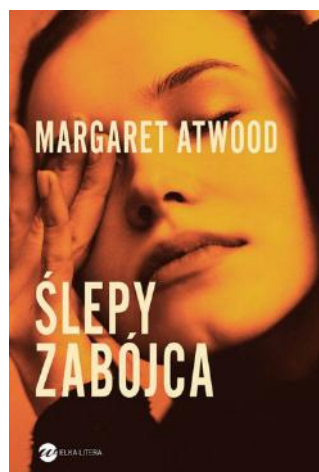
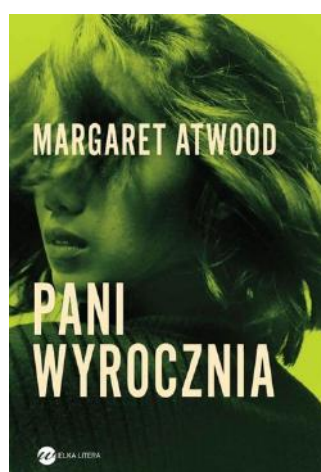
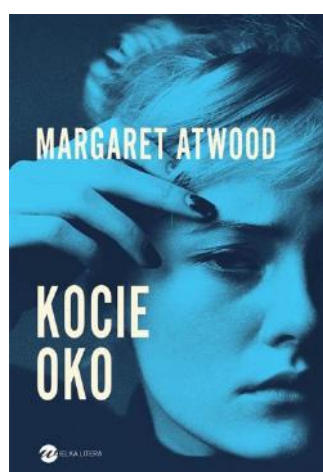
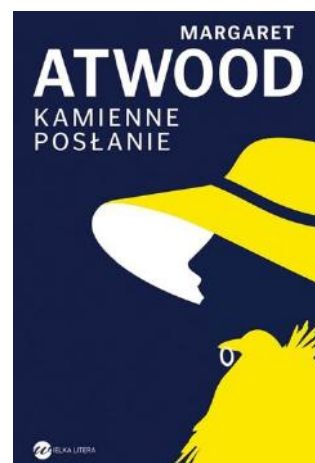
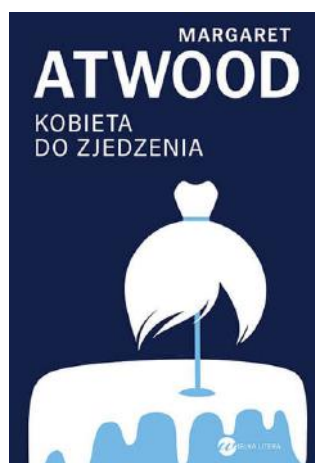
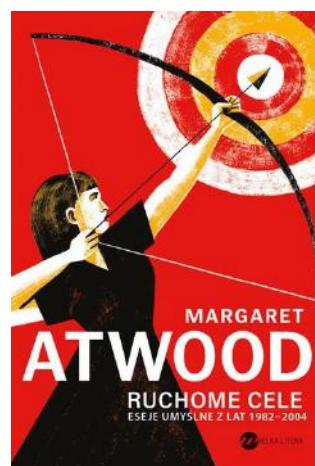
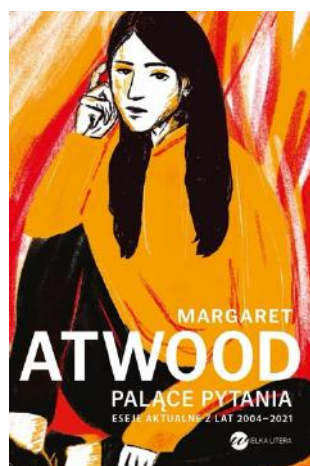
Fraternizować, to znaczy zachowywać się jak brat. Łukasz mi to kiedyś wyjaśnił. Powiedział też, że brakuje odpowiedniego słowa na zachowanie się jak siostra. Musiałoby ono brzmieć: sororyzować, powiedział. Z łaciny. Interesował się takimi drobiazgami, jak pochodzenie słów, ich różne dziwne znaczenia. Przekomarzałam się z nim, nazywając go pedantem.

Biorę kupony z wyciągniętej ręki Rity; są na nich obrazki przedstawiające rzeczy, na które można je wymienić: tuzin jajek, kawałek sera i coś brunatnego, co ma być stekiem. Chowam kupony do zamkniętej na suwak kieszeni w rękawie, gdzie trzymam też paszport.

– Powiedz im, że jajka mają być świeże – mówi Rita. – Nie takie jak ostatnim razem. I kurczak, a nie kura. Powiedz im, dla kogo bierzesz, to nie będą robiły numerów.

– Dobrze – odpowiadam. Nie uśmiecham się. Po co mam ją kusić do zawarcia przyjaźni.

Może zainteresować Cię również:



Sprawdź nasze [NOWOŚCI](#)
Zapraszamy na wielkalitera.pl